

Muzeum Historyczne w Białymstoku
Pałac Cytronów, ul. Warszawska 57

PANEL:
POZYTYWISTA I ŚWIAT -
LOKALNOŚĆ I GEOPOLITYKA

Prowadzenie: Anna Janicka, Jolanta Dragańska-Adamiec

Dr hab. Anna Janicka, prof. UwB [dalej: AJ]: Proszę Państwa, chciałabym oficjalnie powitać na kolejnej części konferencji – panelu dyskusyjnym, jak szumnie nazwaliśmy to spotkanie w Muzeum Historycznym. Wybraliśmy to miejsce, aby mogli Państwo odwiedzić je ponownie¹, choć nie zapominamy, iż niektórzy są tu po raz pierwszy. Panel został pomyślany jako autonomiczna część konferencji, ale to nie wyklucza ciągu dalszego tych wszystkich dyskusji, które zaczęliśmy w trakcie poprzedniego spotkania. Proszę Państwa, oto główne tematy, które powinny nam dziś towarzyszyć:

- Gdzie w wymiarze geokulturowym zaczyna się, a gdzie kończy horyzont młodych pozytywistów warszawskich?
- Jak w tekstach młodych pozytywistów warszawskich wyraża się wyobraźnia polityczna?
- Lokalność i geopolityka, czyli młodzi pozytywiści warszawscy między prowincją a wielkim światem.

Oczywiście, wystąpienia konferencyjne dotyczą tylko określonego zagadnienia, wątku, osoby, natomiast wokół nich narasta mnóstwo przemyśleń, zagadnień, które, mam nadzieję, poruszymy w trakcie dyskusji. Tak jak w ubiegłym roku, jest ona rejestrowana.

Zapraszam do zabrania głosu w debacie „Pozytywiści i świat. Lokalność i geopolityka”. Bardzo proszę, jeśli nie ma chętnych, będziemy „wywoływać do tablicy”. Może Pani Profesor Alina Kowalczykowa?

Prof. Alina Kowalczykowa [AK]: W takim razie zagaję słowem „lokalność”. Czemu Warszawa i warszawscy pozytywiści mają być grupą lokalną? Dlatego, że znajdowaliśmy się pod władzą caratu? Gdybyśmy wówczas byli niezależni, nie byłibyśmy lokalni. Wcześniej Warszawa była miastem stołecznym. Teraz jej siła została umniejszona z powodu podległości innej stolicy – Petersburgowi. To jest zgoda na odebranie jej rangi miasta europejskiego.

¹ Zob. „Dziedzictwo pozytywizmu – dziś”. *Panel w Muzeum Historycznym w Białymstoku, 5 grudnia 2014 roku*, [w:] *Pozytywiści warszawscy: „Przegląd Tygodniowy” 1866–1876, Seria I: Studia, rewizje, konteksty*, red. i wstęp A. Janicka, Białystok 2015, s. 531–542.

AJ: Czy lokalność musi być traktowana w takim razie jako przezwą?

AK: Coś lokalnego może być czymś znakomitym, ale chodzi o skalę. Wydarzenia lokalne zawsze są lokalne. Chciałabym, żeby Warszawy nie postrzegać w ten sposób, tylko, tak jak przedtem, jako stolicę europejską, o statusie, do którego aspirowała i który udało się jej osiągnąć. Chodzi o to, by nie ujmować jej wielkości. Może się myłę, może rzeczywiście była lokalna, ale zdaje się, że już wcześniej była nazywana „polskim Paryżem”. W czasach powstania listopadowego, nawet w latach dwudziestych, nikt nie określiłby jej jako lokalnej, a tu nagle sami się na to godzimy. Takie określenie wydało mi się przykre. Czy użyłabyś go wobec Petersburga?

AJ: Dlaczego nie? Nie traktuję lokalności jako określenia pejoratywnego, ujemnego.

AK: Nie chodzi mi o pejoratywność określenia, lecz o jego rangę. Coś lokalnego ma niewielki zasięg oddziaływania.

AJ: Koncentrujemy się na Warszawie, tymczasem istotne jest to, jak lokalność, podział na wielki świat i prowincję, oddziałuje na sposób myślenia młodych pozytywistów. Czy zachodzą tu jakieś przesunięcia w stosunku do poprzedniego pokolenia?

AK: Zatem mamy punkt wyjścia do dyskusji. Może niech ktoś inny zabierze głos?

AJ: Zgłasza się Pan Profesor Budrewicz...

Prof. Tadeusz Budrewicz [TB]: Zgłaszam się, by uczynić wstępną uwagę, która poprowadzi prostą drogą ku może nie unicestwieniu, ale załagodzeniu opozycji lokalność – centrum, czy też peryferie – centrum. Skoro przywykliśmy myśleć o wieku XIX jako o epoce pary i elektryczności, nadszedł czas, abyśmy zdali sobie sprawę również z tego, że to stulecie, szczególnie jego druga połowa, było okresem rewolucji komunikacyjnej. Europa, Ameryki Północna oraz Południowa każdego dnia pokrywają się coraz rozleglejszą siecią traktów kolejowych. Oznacza to skurczenie się przestrzeni. Kolej przewozi przedmioty, ludzi, informacje. Podobnie statki parowe, kursujące i po rzekach, i po morzach, i po oceanach. Metro – przypomnijmy sobie, że już w pierwszej połowie wieku XIX tworzy się układ połączeń londyńskiego metra, zaś później podjęto próbę wybudowania tunelu pod kanałem La Manche. Dalej: telegraf bezprzewodowy, w formie dość prymitywnej jako rodzaj ruchomych semaforów, następnie telegraf przewodowy, mikrofon.

Są to bardzo ważne czynniki, które przekształcają wymianę informacji, umożliwiając im przepływ w sposób nieporównanie szybszy niż kiedykolwiek wcześniej w historii cywilizacji. W tym czasie zostały zbudowane kanały łączące Europę i Azję oraz Oceany Atlantycki i Spokojny. Mówimy tu o ogromnych osiągnięciach technologicznych. Za nimi idzie powstanie rozmaitych instytucji, na przykład telegraficznych. Dzięki temu osoby zamieszkałe na głębokiej prowincji otrzymują informację w czasie niewiele krótszym od mieszkańców dużych miast. Według moich ustaleń, jeszcze w czasie powstania listopadowego wydarzenie zaistniałe w Paryżu trafiało do informacji publicznej w Warszawie w ciągu 3 dni, 2 kolejnych potrzebowało, by dotrzeć do Augustowa lub Suwałk. *Ergo* zajmowało mu przynajmniej tydzień dotarcie z zachodu Europy do jej centrum, natomiast wieść o śmierci Kra-

szewskiego rozniosła się po wszystkich miastach kontynentu w ciągu 2 godzin. Skala tych przekształceń oznacza, że zarówno młodzi pozytywści, jak ci, którzy oblegali redakcję „Tygodnika Ilustrowanego” bądź „Głosu”, żyli w tym samym świecie cywilizacji technicznej, wspólnym dla generacji i młodszej, i starszej. Ten aspekt wspólnoty wydaje się słabo podkreślany w naszych refleksjach na temat różnic generacyjnych, utrwalonych na łamach literatury bądź prasy. Naturalnie, były między nimi spory ideologiczne, lecz teraz mogły być nagłaśniane nieporównanie szybciej.

Wielka rewolucja informacyjna, która zaistniała w drugiej połowie XIX wieku, trwa do dziś. Jesteśmy jej dziećmi. Nie wyobrażamy sobie, jak dalece przekształcił świat ten okres, w którym wymierały stada koni, a budowano lokomotywy. Mówiąc o stadach koni, mam na myśli powszechność zaprzęgów i dyliżansów w Europie pierwszej połowy owego stulecia. Później te „stare konie” odchodzą. Podążają za tym ogromne zmiany w gospodarce rolno-spożywczej. Ten okres jeszcze nie umarł całkowicie, miejscami trwa nadal w naszym kraju, ale dogorywa na naszych oczach. Możemy sobie wyobrazić, jak trudno było psychicznie pogodzić się ówczesnym ludziom z nastaniem nowego dnia technologii. Ale sobie poradzili. W ciągu kilkunastu lat pociąg przestał być potworem, a stał się czymś naturalnym. Tak jak dla mojej generacji komputer przestał być czymś strasznym, czego nikt nie pojmuje, a stał się narzędziem codziennego użytku.

Pragnąłbym zwrócić uwagę właśnie na aspekt technologiczny. To on powoduje, że możemy mówić o świecie między Petersburgiem, Warszawą a Odessą, przyczółkiem na lewym bądź prawym brzegu Dniepru jako o względnie zunifikowanym obszarze cywilizacyjnym.

Dr hab. Grzegorz Markiewicz, prof. UŁ [GM]: Jeżeli chodzi o lokalność, zgodzę się z Panem Profesorem, że wówczas miała miejsce rewolucja komunikacyjna, być może szokująca dla jej świadków. Jednak Europa nie stawała się wtedy globalną wioską. Myślę, że kwestia lokalności zależała od jakości rozmaitych płaszczyzn: politycznych, ekonomicznych, artystycznych, estetycznych i tak dalej. O polityce mówić nie będziemy, ponieważ Warszawa nie miała na nią wpływu. Czy działo się w niej coś, by mogła stanowić punkt odniesienia dla stolic europejskich, innych miast, ośrodków, przemysłu, kultury, sztuki? Mogła znajdować się w centrum zainteresowania – Krakowa, Lwowa, Poznania. Jednak z drugiej strony można stwierdzić, że na przykład dla Krakowa bliższy był Wiedeń niż Warszawa. To samo dotyczyło Lwowa. W związku z tym w Warszawie pisano o Paryżu, o Londynie, o Petersburgu, ale z perspektywy Zachodu rzeczywiście była „Paryżem Północy”.

Co do pozytywistów, skoro używamy określenia „warszawscy”, to oznacza, że ranga tej grupie została już nadana, jednak nie uznałabym jej za lokalną. Mimo wszystko, Warszawa była głównym ośrodkiem administracyjnym Królestwa Polskiego, wprawdzie pozostającego pod panowaniem carskim, jednak bynajmniej nie sprowadzonego do rangi „Kraju Przywiślańskiego”. Określenia tego Aleksander użył jedynie dwa razy w prywatnej korespondencji. Natomiast oficjalnie było to Królestwo Polskie, zaś Warszawa była siedzibą jego władz centralnych. Jednak z drugiej strony nikt na zachodzie nie pisał o Operze Warszawskiej jako o miejscu wysokich rangą wydarzeń artystycznych. W tym kontekście „Przegląd Tygodnio-

wy” i „Echo Artystyczne” opowiadały nie tylko o Paryżu, Londynie, ale również o Monachium. Pod tym względem, w kontekście europejskim, Warszawę można uznać za prowincjonalną, w kontekście polskim już nie. W kwestii formacji umysłowej i fermentu intelektualnego, który nastąpił po powstaniu styczniowym, dodajmy, że rola Warszawy była dominująca we wszystkich trzech zaborach, choć myślę, że należałoby tu wziąć pod uwagę również Petersburg. Stan ten trwał przynajmniej do lat dziewięćdziesiątych, kiedy do roli kulturalnej stolicy ziem polskich zaczęła aspirować Kraków. Dziękuję!

Dr hab. Jolanta Sztachelska, prof. UwB [JS]: Sami pozytywiści mówią o Warszawie, że jest prowincjonalna, senna, że jest nieruchomym stawem. Tych określeń użył Prus. Podobnie jak tego, że Europa mówi o Warszawie tylko wtedy, gdy ma miejsce zaćmienie słońca.

Mieli poczucie odstawania od Zachodu, jednak jest to również kwestia poziomu ich ambicji. Są ludźmi, którzy pochodzili z prowincji, często z rodzin upadłych wskutek przetasowań historycznych i politycznych. Dla nich Warszawa niesłychanie „podbijała bębenek”, zwłaszcza znalezienie się w środowisku akademickim Szkoły Głównej, gdzie mogli sycić swoje umysły informacjami o świecie, doskonałym się, rozwijającym cywilizacyjnie, w którym tempo życia przyspieszało. To pokazuje ogromny poziom ich ambicji, każących im, mimo niesprzyjających warunków, ów świat dogonić, przynajmniej na tyle, na ile było to możliwe. Warszawa w wyniku historycznych kataklizmów wiele straciła, została zdegradowana. Mimo to, jest szalenie ważna dlatego, że tu skupia się ten zasadniczy ferment, który odzwierciedla się w indywidualnych biografiach. Jeśli zejdziesz się na ich poziom, nawet tego jednego pokolenia Szkoły Głównej, to widać, jak ogromny wysiłek włożyli w to, żeby pokazać: „my istniejemy”! Mimo to, wiele mówią o tym, że owe ambicje powinny być dostosowane do okoliczności, w których się znajdują, nie mogą przekształcić się w fantasmagorie.

Do czego to wszystko zmierza? Do zrozumienia rzeczywistości. Jako naród utraciliśmy podmiotowość, by ją odzyskać, musimy stać się społeczeństwem. Za wielką zasługę pozytywistów uważam zbudowanie w nas przekonania, że warto być owym społeczeństwem w sensie etnojęzykowym. Wymagało to podjęcia niebanalnego wysiłku, który skupił się w Warszawie, stąd jej waga.

AK: Myślę, że na poparcie Pani słów należy dodać jeszcze jedno. Warszawa już była „wielkim europejskim miastem”, jednak ten status utraciła, z czego zdają sobie sprawę pozytywiści. Więc nie tyle chcą świat dogonić, ile odzyskać należne w nim miejsce.

Dr Sylwia Karpowicz-Słowikowska [SK-S]: Do wypowiedzi Pani Profesor Sztachelskiej, ponieważ został poruszony temat Prusa, chciałam zaznaczyć, że Szkoła Główna nie dla wszystkich była ziemią obiecaną i Mekką. Prus, nim wstąpił do Szkoły Głównej, marzył o studiach w Petersburgu. Jak sam powiedział, tam była nadzieja na naukę. Jedną z hipotez wyjaśniających fakt przerwania przezeń studiów w Szkole Głównej mówi o jej niskim poziomie nauczania. Zatem myślę, że nie było tak kolorowo, jak nam się wydaje. Bardzo byśmy chcieli widzieć w młodych pozytywistach ludzi, którzy gloryfikują Warszawę, jednak kiedy Prus zostaje wydalony ze Szkoły Leśnej w Puławach, ponownie myśli o wyjeździe do Petersburga. Uważa

to miasto za miejsce dające lepsze perspektywy na przyszłość. Zatem, tytułem uzupełnienia, powiedzmy, że nie wszyscy studenci Szkoły Głównej uważali ją za najlepsze miejsce na ziemi.

Teraz chciałabym wrócić do pojęcia „lokalności”. Znajduje się w użyciu taki termin, jak „patriotyzm lokalny”. Ową lokalność postrzegałabym jako swojskość i wynikającą z niej siłę, a nie jako prowincjonalizm. Lokalność daje możliwość zarówno czerpania, jak też dzielenia się siłami z miejscem, z którym czuje się więź. Dziś pojęcie „lokalności” ma zupełnie odmienne znaczenie. Pochodzę z Pomorza, gdzie to pojęcie Kaszubi noszą na sztandarach. Widziałabym je jako coś nobilitującego, niekoniecznie może niepejoratywnego, ale też nieobniżającego rangi, wręcz postrzegałabym lokalność jako siłę.

AK: Problem tkwi w wieloznaczności. Z jednego punktu widzenia jest tak, jak Pani mówi, z innego zupełnie inaczej, dlatego wołałabym, żeby to był termin, który...

AJ: Zatem jaki?

Prof. Tomasz Sobieraj [TS]: Jeśli mogę sobie pozwolić na kilka zdań *ad vocem* wypowiedzi Pani Doktor. Istotnie, Prus miał plany, by swoją edukację kontynuować w Petersburgu. Przy czym nie traktował później akcesu w szeregi słuchaczy Szkoły Głównej jako degradacji, chociaż pamiętam wątek, który Pani poruszyła. Należałoby go rozpatrzyć przez pryzmat doświadczeń biograficznych i traumy po klęsce powstania styczniowego. Gdy pisze, bodaj w jednym z listów do Godlewskiego, iż...

Osoba anonimowa: Spodziewa się, że nie zostanie przyjęty do Szkoły Głównej.

TS: Między innymi. Mówi, iż ta epoka wielkich zrywów odeszła w przeszłość. Ideologia romantyczna imputuje Prusowi ten tok myślowy, ale można go wydedukować z jego korespondencji. Przyprawiła go o straty. Miała charakter wyłącznie negatywny, co później oczywiście ulegnie zmianie. Pozwolę sobie również na delikatną polemikę z wypowiedzią Pani Profesor Kowalczykowej. Otóż czy w programie społeczno-kulturalnym pozytywistów odnajdujemy element, który akcentowałby konieczność restytucji niegdysiejszej wielkości stołecznej Warszawy? Wydaje mi się, że chodzi im o nieco inne kwestie, mianowicie duch oświeceniowo-pozytywistycznego progresywizmu, który przenika wątki warszawskie poruszane na przykład w publicystyce kulturalnej. Prus, rzecz prosta, wysuwa się tu na pierwszy plan. Chodzi o to, by Warszawę pod wieloma względami zmodernizować. Oczywiście, tak jak pozostali pozytywiści, ma świadomość rozlicznych uwarunkowań, które determinują kształt życia publicznego dawnej stolicy. Apeluje o to, aby poprzez szeroko zakrojone przedsięwzięcia o charakterze na przykład ekonomicznym, poprzez samoorganizację społeczeństwa, rozwój różnorodnych form aktywności publicznej doprowadzić styl życia jednostek i całej zbiorowości Warszawy do poziomu zbliżonego do norm obowiązujących nad Sekwaną lub Tamizą.

Tutaj, oczywiście, warto wspomnieć doskonale Państwu znaną sprawę ogromnej propagandy, przepraszam za ten niefortunny rzeczownik, jaką pisarz roztoczył wokół projektu kanalizacji Warszawy. To kwestia absolutnie niebanalna. Chodzi zatem o modernizację, tak mi się przynajmniej wydaje, rozumianą progresywiście, choć, rzecz prosta, w sposób poniekąd utajony, czy też implikowany, myśli warszawskich pozytywistów nurtuje pragnienie rozwoju życia kulturalnego sto-

licy na różnych poziomach. Zagadnienie, którym ostatnio miałem sposobność się zajmować, dotyczyło zainteresowania warszawskich pozytywistów tymi stosunkowo nielicznymi enklawami, w obrębie których można było pielęgnować najważniejszy składnik naszej tożsamości, substancji narodowej – język polski. Chodzi mi o teatry. To tak gwoli dyskretnej polemiki...

JS: Wydaje mi się, że lata siedemdziesiąte to bardzo trudne czasy do życia w Warszawie. Po wielkich sukcesach w Krakowie przyjeżdża tu Modrzejewska, dusi się z powodu złych stosunków zawodowych, fatalnego repertuaru. Nie umie się odnaleźć. Sytuacja staje się na tyle nieznośna, że zaczyna rozważać wyjazd do Ameryki.

TS: Mimo to, podbija Warszawę.

JS: Natomiast z drugiej strony jest to okres w historii teatru, w którym rodzi się nowa publiczność, wychowana na niezbyt wysokich lotów repertuarze zagranicznym. Jest to przejaw polaryzacji gustów. Tymczasem elementy polskości w warszawskiej architekturze są zamazywane. Symbolem tego procesu jest położony w samym sercu miasta Pałac Staszica. Dawna siedziba Towarzystwa Przyjaciół Nauk została przekształcona w cerkiew. Kolejna powstała na placu Aleksandra, dziś Trzech Krzyży. To symptomy wnikania tego, co obce, w tkankę miejską, prób jej zmiany obliczonych na zacieranie polskości Warszawy.

AK: Wydaje mi się, że to osobna kwestia. Tymczasem odnoszę wrażenie, jakbyśmy w naszej dyskusji zapomnieli o istnieniu cenzury, jakby ówczesna sytuacja była od tego wszystkiego oderwana. Pozytywiści dobrze zdawali sobie sprawę z jej istnienia i ograniczeń, które im narzucała. Musieli lawirować między tym, co chcą napisać, a tym, co mogą, oraz tym, jak zostanie to odebrane. Nie można tych wypowiedzi traktować jako rzeczywistego wyrazu poglądów.

Natomiast decyzja o podjęciu studiów w Petersburgu lub Lipsku również wynikała nie tyle z chęci, ile z możliwości. Większość publicystów „Przeglądu Tygodniowego” doktoryzowała się właśnie w Lipsku, między innymi Świętochowski, choć poprzedzało go dwóch innych, których nazwisk nie potrafię sobie w tej chwili przypomnieć.

Z kolei odnośnie Warszawy, zdaję sobie sprawę z własnej stronniczości jako warszawianki od wielu pokoleń.

Prof. Bogdan Mazan [BM]: Również biję się w piersi. Dyskusja całkowicie odbiegła od „Przeglądu”. Jako pozytywista, powiedzmy jako uromantyczniony pozytywista, stwierdzam, że faktem literackim jest dla nas ukazywanie się „Przeglądu” i tego rodzaju ekspresja. Pozwólcie Państwo, że zaimprovizuję wypowiedź na temat: jak lokalność w relacji do globalności, uniwersalizmu, widoczna jest w ekspresji twórczej „Przeglądu”? Dziś wszyscy mówili *a propos* niego, czerpali stąd materiał do pracy naukowej. Proszę zobaczyć, jak to pismo się rozwijało od etapu załączka napędzanego siłami studentów. Legenda głosi, że w nocy pracowali przy stacji pomp, a w ciągu dnia za grosze lub bezpłatnie pisali artykuły. Ich treść jest interesująca już w tym pierwszym okresie. Wchodząc w lata 70., periodyk rozwinął się nie tylko pod względem objętości. Zaczyna liczyć się szata graficzna, wkraczamy również w epokę reklam, co jest zauważalne już w kronikach. Ikona „Przeglądu”, przedstawiająca pociąg, parowóz starej daty wyjeżdżający z ciemnego tunelu

z napisem „Postęp” na przedzie, zaś w tle jego atrybuty, stała się znakiem rozpoznawczym pisma. Później w swoich *Humoreskach* Sienkiewicz pisał, że właśnie takie rekwizyty powinny zajmować inżyniera, człowieka postępu.

Pojawiła się w „Przeglądzie” rubryka niebywała jak na stosunki warszawskie, działająca właściwie tak samo jak artykuły programowe. I co się w niej znalazło? Jak jej treść ma się do kategorii „lokalności”, „uniwersalności”, „globalizmu”? Artykuły wstępne, bo o nich mowa, dotyczyły spraw i lokalnych, i uniwersalnych. Rubryka „Echa Warszawskie” nazwą sugeruje zawartość jedynie „ech”, do tego tylko „warszawskich”, tymczasem napomykała ona o sprawach ważnych. Mamy teraz wiele problemów wynikających z braku podpisów pod artykułami, jednak często możliwe okazuje się zidentyfikowanie autora pośrednio, na przykład Świętochowski ujawnił się później jako tłumacz *Zarysów Anglii* Hippolyte’a Taine’a. Publikowano rozmaite ciekawostki ze świata. Zawartość poszczególnych działów była dobrze wyeksponowana – korespondencje z kraju, z zagranicy, ostatnie rubryki. Widzimy coraz więcej znamion otwarcia na świat, nawet część informacyjna w latach siedemdziesiątych się rozrasta. To już nie tylko suche wzmianki, ale również ciekawe komentarze.

Teraz o tym, co znalazło się pośród zdobyczy poszczególnych „Przeglądów”. Pod koniec dyskusji słusznie napomknięto, że właściwie zdobyczą pośrednią był pewien sposób mówienia o sprawach powszednich, ale i tych niedozwolonych. Wykraczało to poza lokalność, w ten sposób na przykład przybliżano czytelnikom autorów, których nie można było wymienić z nazwiska. Jednym z takich przypadków było dzieło Johna Stuarta Milla *O wolności*, zakazane przez władze carskie z powodu przedstawienia w nim Rosji jako przykładu anachronicznej, podupadłej cywilizacji. Kto chciał, mógł do niego dotrzeć, chociażby do galicyjskiego przekładu. Natomiast Świętochowski w swoim dramacie *Ojciec Makary* parafrazuje indywidualistyczne *credo* Milla, jego kluczowe tezy.

W periodykach galicyjskich ze zdziwieniem pisano: „Jak to możliwe, że w tej prasie rosyjskiej, tak cenzurowanej, są publikowane eseje Hercena *Z tamtego brzegu*”. To była lokalność wnikająca w uniwersalia, przybliżająca świat. Wzorcu, jak mówił profesor Sobieraj, cywilizacji przodujących – Anglii, Niemiec, ale również to, o czym nie wolno mówić, co wyznaje Świętochowski w swoich wspomnieniach, uznaje za jedno z najważniejszych osiągnięć literackich. W tym okresie pozytywści byli opluwani, podejrzewani. Natomiast z mego punktu widzenia byli idealistami pracującymi za grosze, stawki od wiersza były chyba najniższe w całej prasie warszawskiej. Tutaj Wiślicki był bezlitosny.

JS: Wtedy wszyscy źle płacili.

BM: Owszem, jednak on płacił najgorzej i zdawał sobie z tego sprawę. Listy, jego czy Świętochowskiego, to są wyliczenia. Od wiersza płacili nawet za utwory literackie. Ale czy to oznaczało wyzysk? Niekoniecznie. Mamy do czynienia z dwiema ciekawymi sylwetkami, często ocenianymi odmiennie, aż proszącymi się o osobną dyskusję poruszającą kwestie ich osobowości oraz wzajemnych relacji, prób uwolnienia się Świętochowskiego spod kurateli Wiślickiego. Powracając do anonimowości tekstów, rzeczywiście jest to problem. Część autorów można zidentyfikować, analizując późniejsze roczniki „Przeglądu”, bowiem zdarzają się wzmian-

ki o dawnych artykułach oraz ich twórcach. W okresie późniejszym „Echa Warszawskie” bywały podpisywane, czasem nawet imieniem i nazwiskiem. Stanowi to ciekawe zagadnienie, gdyż anonimowość w cyklu o charakterze często zbliżonym do pamfletu bez wątpienia daje odwagę pozwalającą formułować kontrowersyjne tezy. Mimo to, część autorów można rozpoznać. Z prześledzonej korespondencji Wiślickiego wiem, że działem tym kierował Świętochowski. Gdy tylko dłużej przebywał w Lipsku, redaktor ubolewał, że „»Echa« marnieją”.

Wracając do podpisów, w „Przeglądzie” na modłę angielską zachowano anonimowość, inaczej niż w prasie galicyjskiej, od połowy lat siedemdziesiątych przyjmującej francuską zasadę jawności autorstwa. W założeniu miała ona zapobiegać nielegalnym przedrukowi, plagiatom oraz gwarantować poszanowanie własności intelektualnej. Dla wielu badaczy poświęcających się analizowaniu „Przeglądu” już sama jego publikacja będzie istotnym faktem literackim, to, co z niego emanowało *a propos* swojskości, rodzimości, lokalności, ale również cech uniwersalnych i nie tylko. Dla porównania proszę wziąć pod uwagę pisma satelickie. Miałem nadzieję, że ktoś wspomni o periodykach wspierających „Przegląd”, które stwarzały dodatkowy wyłom, otwierały dodatkową furtkę na świat. Czemu o „Gazecie Handlowej” nikt nie pisze? O „Przyrodzie i Przemysle”, która jest arcyciekawym tytułem zawierającym wiele rzeczowych artykułów?

AK: Przepraszam bardzo, wydaje mi się, że ponownie zbaczamy z tematu, jakim jest „Przegląd Tygodniowy”.

BM: W tym również jego zawartość...

AK: Świetnie Pan to ujął. Natomiast chodzi mi o to, że chyba postrzegamy zagadnienie z niewłaściwej perspektywy. Koncentrujemy się na naszym, współczesnym punkcie widzenia, dysponując znacznie większą wiedzą niż ówczesi. Uściślając, analizowanie problematyki danego numeru, korzystając z informacji zawartych w późniejszych numerach, pozbawia nas możliwości spojrzenia na nią oczami autorów artykułów. Bardzo mnie interesują związki ich poglądów z filozofią, właściwie niemal nie wykraczającą poza pięciu mistrzów.

BM: To było zawołanie bojowe.

AK: To dobrze. Zastanawiam się, czy właśnie poglądy były najbardziej odkrywczym, fascynującym aspektem ich twórczości? Oczywiście, to interesujące, czy i w jaki sposób modyfikowali poglądy względem zachodnich filozofii stanowiących punkt wyjścia? Jak przebiegała ewolucja tych punktów widzenia wobec tego, jak prezentowały się na samym początku? Można by jeszcze pokusić się o dyskusję poruszającą temat tego, czego od nich nie przyjęli, które elementy zagranicznej myśli pozytywistycznej zostały przez nich odrzucone, które z nich były przedstawiane w sposób zawołany, choć wydaje mi się to niemożliwe do zweryfikowania. Jednak istotniejszymi od tych zagadnień wydają mi się ich praktyczne efekty...

BM: Tak, tu się zgadzam, jednocześnie odsyłając bezpośrednio do pisma.

AK: Nie o tym mówię, to właśnie jest podejście do zagadnienia z późniejszej perspektywy czasowej. Chciałabym porozmawiać na przykład o tym, skąd u Wiślickiego taka a nie inna filozofia? Co wymyślił sam, co zapożyczył od Milla, od innych, z czego zrezygnował, bo w danych okolicznościach Milla uważał za istot-

niejszego albo po prostu bardziej przypadł mu on do gustu? Wiślicki dał wyraz swoich autorskich poglądów choćby we wcześniejszych szkicu o włościanach i *Gawędach o rzemieślniku*. Pojawia się tam Jeremy Bentham, o którym nigdy później nie wspomina, ale wtedy był dla niego najważniejszy, uważał go za ojca utilitaryzmu. Co z jego myśli zaadoptował, jakie praktyczne rezultaty to przyniosło? Na przykład w dziedzinie edukacji, szalenie ważnej, o którą trwały nieustanne boje, a której jeszcze nie poruszaliśmy.

Pomijając ogólniki o rodowodzie angielskim, austriackim i niemieckim, interesuje mnie nie tyle, co czerpano z zagranicznej filozofii, ile jakie to były wzorce praktyczne, dotyczące na przykład urządzania warsztatów rzemieślniczych, organizacji edukacji kobiet. Kiedy zrezygnowano z walki o oświatę rozumianą tak, jak rozumiała ją w swoim cudownym artykule Pani Zofia Beller – przede wszystkim nie ulec gwałtowi i nie dać ponieść się namiętności? Jak szybko uznano konieczność edukacji nie tylko szlachcianek, „córek obywatelskich”, jak je zwano, lecz ogółu, zwłaszcza prowincjuszek, dla których Warszawa stanowiła nowe, nieznane środowisko? Według mnie jest to istotny fakt, następujący stosunkowo szybko. Oczywiście sięgnięto wtedy do wzorców zachodnich, nie było powodu by się ich wyrzekać. Z jednej strony zajmowano się właśnie dziewczętami ze zubożałych rodzin szlacheckich, często niepotrafiącymi znaleźć odpowiednio sytuowanego kandydata na męża, z drugiej zaś pochodzącymi ze wsi. Mimo to, różnice w przewidzianych dla nich programach wcale nie były łatwo dostrzegalne. Wyraźnie widać, że nie wiedziano wówczas, jak wytyczyć linię podziału między edukacją jednych i drugich. Był to problem, który szalenie dręczył pozytywistów.

Kolejnym zagadnieniem była moralność, poruszała je już Pani Iwona, mówiąc o nieślubnych dzieciach. Oparła się Pani na drugim cyklu rozpraw Wiślickiego, wcześniej napisał 11 artykułów pod rząd o moralności kobiet. To były tematy, które fascynowały bardziej niż Darwin, niż przekład dzieł Milla, a które zaczęły poruszać jeszcze przed powstaniem styczniowym. Według mnie, to były ich prawdziwe problemy, chciałabym przekonać się, jak sobie z nimi radzili, lepiej lub gorzej? Wspominałam o Przyborowskim, który miał dość niepoważne pomysły, gdy w wieku 18 lat próbował wytyczać życiową drogę dojrziałym kobietom. Uważam takie zagadnienia za szalenie fascynujące, a przy tym nasze, polskie, poruszane przez warszawskich pozytywistów, jednak w sposób różniący się od postaw filozoficznych, z których się wywodzili. Chodzi mi nie tylko o adaptację samej myśli pozytywistycznej, ale też wzorce, jakie z uporem i zamiłowaniem czerpali poprzez korespondencję dotyczącą na przykład szkół, prowadzoną z rodakami przebywającymi za granicą, w Londynie, Paryżu. Powinniśmy zbadać to, jak wielka filozofia przekładała się na konkretne, polskie realia.

BM: Dyskusja zaczęła iść w kierunku, którego oczekiwałem, odwołujemy się do treści tygodnika. O to mi właśnie chodziło, że dla nas jest on faktem literackim. Można to odczytywać jeszcze głębiej, ale do tego konieczne są badania studyjne. Nie wymyślimy tego na początku. Pani Profesor jest po lekturze, przemyśleniach i to jest to, o co mi chodziło, tak, że absolutnie się zgadzam!

AK: Wiem o tym, że Pan się zgadza. Chcę tylko położyć akcent na tę praktykę...

BM: Te rzeczy można odczytywać jeszcze inaczej. Nawet to, co Pani Profesor mówiła na temat Benthama, ojca utilitaryzmu, nawet studenci, doktoranci nie dyskutują o utilitaryzmie. On zaczynał od Benthama; ale Bentham tłumaczył, o co mu chodzi. O szczęście, o szukanie narzędzi do jego osiągnięcia. Jaki to piękny, ciekawy i szczytny ideał. To jest na samym początku tekstu, na powierzchni, jak w kopalni odkrywkowej. Chodzi mi również o to.

AJ: Myślę, że tutaj nie ma sprzeczności, mówimy o tym samym za pomocą innych przykładów. To nie jest tak, że filozofia jest gdzieś hen...

Osoba anonimowa: Filozofia została sfunkcjonalizowana.

AJ: Sfunkcjonalizowana. Czytając angielskich filozofów, wydaje się, że oni sobie tworzą własną teorię. Na przykład Świętochowski wielką i małą politykę definiuje z własnej perspektywy, ale wychodzi oczywiście od lektury.

Mgr Jolanta Dragańska-Adamiec [JD]: Dr Marcin Niemojewski chciałby zabrać głos.

AK: Ciągłe mówimy o Świętochowskim, a przecież byli jeszcze inni i to pięć lat przed nim. Tymczasem w kółko, Świętochowski stworzył, Świętochowski to i tamto...

BM: Był jeszcze Kotarbiński.

AJ: Kotarbiński, Dygasiński...

Dr Marcin Niemojewski [MN]: Proszę Państwa, przysłuchuję się z radością i wdzięcznością za to, że mogę uczestniczyć w tej dyskusji. Ale muszę coś powiedzieć, ponieważ kilkakrotnie pojawiło się zdanie „z perspektywy pozytywistów warszawskich”. Rozumiem, tu jest to najważniejsza perspektywa, główny temat, więc chciałem tylko w dosłownie paru słowach przypomnieć o tym, że w tym samym czasie dla Litwinów, Rusinów i części Ukraińców Warszawa jest wspaniałą, nowoczesną, zachodnią stolicą, która posiada coś, czego brakuje innym miastom, mianowicie wyższą uczelnię, której nie ma już nawet w Wilnie. Brak jej na całej kresowej północy. Do wyboru jest kilkanaście stypendiów dla Litwinów i Rusinów w Moskwie lub Petersburgu. To oznacza kilkunastu młodych ludzi rocznie. Dosłownie. Nikogo nie stać, by wyjechać tam na studia za własne pieniądze. Basanawicz skorzystał właśnie z takiej zapomogi, cała reszta jedzie do Krakowa, który jednak uchodzi za miasto artystyczne. Trafiają tam ci, których interesują te idee, którzy chcieliby pracować, jak to się wtedy mówiło, w sztuce. Natomiast zainteresowani kwestiami społecznymi i politycznymi wybierają Warszawę.

Nie tylko ze względu na Szkołę Główną, ale również dlatego, że dla Litwinów Warszawa jest szkołą mieszczaństwa, a to bardzo ważne. Te narody, narody pasa kresowego, nie mają własnego mieszczaństwa. Tak naprawdę na północy jedynie Wilno jest miastem. Kowno w tym czasie nim nie jest, nie ma się co oszukiwać. Mariampol ma gimnazjum, dzięki temu wytwarza się tam pewna miejscowość. Bardziej na południe być może Grodno, Mińsk, choć to kwestia dyskusyjna. W swoich wspomnieniach Miłosz wskazywał na to, że miejscowość Mińska w zasadzie zaczyna się w XX wieku. Natomiast Litwini z całą pewnością nie mają żadnego innego miasta niż Wilno, które jednak nie jest litewskie, z czego doskonale zdają sobie sprawę. Według najnowszych badań, są wówczas bodajże ósmą lub dziewiątą grupą narodowościową, stanowiącą mniej niż 2% populacji. Litewskie mieszczaństwo nie ist-

nieje. Przyjeżdżają do Warszawy, by się tu uczyć i są zachwyceni. Chcę tylko przypomnieć, że w 1899 roku przebywała w niej postać dziś już przeze mnie wspomniana, to znaczy Čiurlionis, który później wyjechał do Petersburga. W późniejszym czasie powrócił do niej jeszcze dwukrotnie.

AK: Ale on nie był uczniem Szkoły Głównej.

Osoba anonimowa: Studiował na Akademii Sztuk Pięknych.

AK: Akademię Sztuk Pięknych otworzono w 1906 roku.

Osoba anonimowa: W 1906 roku, więc on już wtedy uważał, że przyjechał do prawdziwej stolicy europejskiej.

AK: To inne czasy. Jeżeli chodzi o Szkołę Główną, chciałam zwrócić uwagę na to, że padały tu uwagi dezawuuujące ją. Po pierwsze, była to jedyna uczelnia z polskim językiem wykładowym, po drugie, była świetna. Otworzona dzięki staraniom Wielopolskiego, prowadzona przez Mianowskiego, po utworzeniu w jej miejscu Uniwersytetu poziom rzeczywiście spadł. To właściwie była obca, rosyjskojęzyczna szkoła w Warszawie. Natomiast Szkoła Główna cieszyła się jak najlepszymi opiniami i była bardzo dobrze wspomniana, zwłaszcza w odniesieniu do ogólnej rusyfikacji oraz rosyjskiej oświaty. Na tym tle rektor Mianowski z polską Szkołą Główną, ze świetnym środowiskiem, z którego oni wyszli...

Osoba anonimowa: Jak na kilka lat funkcjonowania, przecież jacy świetni to byli wychowankowie. A potem Uniwersytet Warszawski i *null*, nic.

MN: A Towarzystwo „Lietuva”, które było pierwszym ważnym towarzystwem studentów litewskich, wzorowanym zresztą na polskich, a powstało jeszcze w Szkole Głównej?

AK: Właśnie o to mi chodzi, żeby widzieć tę różnicę. Akademię Sztuk Pięknych otwarto dopiero w 1906 roku. *Notabene*, w pierwszym roczniku tej szkoły znalazła się przyszła żona Stefana Żeromskiego – Anna Zawadzka, niezwykle zdolna młoda malarka. To była dopiero druga taka szkoła w Europie przyjmująca kobiety.

JS: W latach, o których mówimy, nie było żadnego kształcenia artystycznego. W 1871 roku Stanisław Witkiewicz po krótkich studiach w Petersburgu przyjeżdża do Warszawy i opisuje ją jako zupełną pustkę, jeśli chodzi o kształcenie artystyczne. Później wyjeżdża do Monachium. Pod tym względem Warszawa jest zniszczona. Nie ma w niej żadnego szkolnictwa artystycznego, ani średniego, ani wyższego.

AK: Wtedy liczone na mecenat, dość liczni młodzi malarze otrzymywali prywatne stypendia, choć nie za wysokie, bo fundowali je ludzie niebędący magnatami. Ten powszechny ruch stypendialny był czymś pięknym.

JS: Do Paryża mogli jeździć jedynie ci, którzy mieli na to pieniądze.

AK: Czyli właśnie stypendyści!

MN: Jeśli mógłbym dodać jedno zdanie na zakończenie mojej wypowiedzi. Prosiłbym, by nie zapominać o tym, że z punktu widzenia warszawskiego to mogło wyglądać różnie: lokalnie, prowincjonalnie, bo przecież nie nowocześnie, jako pustka bądź nie. Natomiast dla bardzo wielu przyjeżdżających ze Wschodu, z Północy to był Zachód, granica, której oni już ani finansowo, ani mentalnie nie byli w stanie przekroczyć. Dalej nie jeździli. Co najwyżej jednostki.

JD: Może teraz poprosimy o zabranie głosu Profesora Ławskiego?

Prof. Jarosław Ławski [JŁ]: Proszę Państwa, dziś tu, wśród pozytywistów, reprezentuję, jak Państwo często mówicie, prepozytywizm, czyli romantyzm. Też się wszystkiemu przysłuchuję z ciekawością. Chciałbym podzielić się dwiema obserwacjami poczynionymi w trakcie lektury „Przeglądu Tygodniowego”. Przede wszystkim dokonuje się wtedy całkowita reorientacja kulturowa. Zmiana wyobraźni zbiorowej, jeśli chodzi o kulturową geografę świata. Mamy romantyków, którzy, po pierwsze, są prowincjonalni, mają swoje Wilno, Białoruś. Przywożą to do wielkich miast. Powiedzmy, że kultura romantyczna jest policentryczna, sama rozwija się w wielu miejscach. Po 1864 roku następuje ogromne poszerzenie takiego spektrum patrzenia na świat. Poszerzenie, po pierwsze, o to, co najbliższe. Jak Pan Doktor Niemojewski przed chwilą mówił, to nie jest tak, że nagle przyjeżdżają Litwini do Warszawy, ale powoli, bardzo powoli Litwini, Rusini, a później nawet Białorusini, wchodzą do świadomości, do kulturowej geografii Polaków. To się dokonuje niezwykle wolno, co widać na przykład w *Kronikach* Prusa, który nie może zrozumieć litewskiego ruchu odrodzenia narodowego, widać u Glogera, piszącego całą książkę o dotyczących tego zagadnienia artykułach polemicznych ukazujących się w prasie. Tak samo było z Ukraińcami. Najślabiej to widać w przypadku Białorusinów, którzy czynią najwolniejsze postępy.

Dalej, przecież zmienia się obraz Europy. Europa romantyczna była, Pani Profesor, skierowana na Paryż, a tu, o czym dzisiaj mówił Pan Profesor Sobieraj, jest ten angielski akcent. Na całym kontynencie zachodzi transakcentacja kulturowa. Co mi się rzuciło w oczy w „Przeglądzie”, to doniesienia o kulturze portugalskiej, włoskiej, węgierskiej. Prawdziwe bogactwo, które zaskakuje. Oni poszerzają horyzonty Polaków, ich wyobraźnię, również w kontekście oświaty, o czym Pan Profesor Mazan dziś wspominał, dlatego, że jeśli myśleliśmy geopolitycznie czy geokulturowo przed rokiem 1864, to, proszę Państwa, takim elementem była Syberia, Sybir i Daleki Wschód, Czukcze. A tu na nowych prawach wkracza Ameryka. Nie jako wątek egzotyczny, Indianin, którego syn Malczewskiego, Jakubowski, opisał po raz pierwszy w wierszach *Indianin*, *Indianka*, tylko jako doniesienia z wystawy światowej, informacje o wynalazkach, o cenach zboża.

Przyglądam się temu, jak śledzą oni karierę Edmunda Strzeleckiego. Więc to patrzenie na świat powoli, oczywiście gdzieś na dalekim planie, nabiera, z pewną przesadą, wymiaru planetarnego. Właśnie dokonuje się to po 1864 roku. Ta różnica jest łatwa do zaobserwowania, kiedy się przeczyta „Gazetę Codzienną” sprzed 1863 roku, a następnie zacznie czytać „Przegląd Tygodniowy”. Widać przepaść.

Jeszcze jedna obserwacja. Chyba chodzi też o to, że to środowisko, często biednych ludzi, z prowincji, jednak potrafiło zmienić model polskiej kultury. Przed 1864 rokiem, jak już mówiłem, była ona policentryczna. Pierwszą próbą narzucenia centrum było oświecenie, z kulturotwórczym dworem królewskim. Ten model, który mamy dziś, to jest znów model centralistyczny z wielkim miastem. Ile by nie było w Ameryce miast milionowych, to jednak Nowy Jork z jednej strony wybrzeża i San Francisco z drugiej, w Europie Paryż i Moskwa czy Petersburg są stałymi punktami orientacyjnymi.

W dyskusji o lokalności oraz światowości pozytywiści nie są ani tylko światowi, ani tylko lokalni. Pokazują prowincję w świetle świata, w zwierciadle świata

i pokazują świat w zwierciadle prowincji, bo sami z niej pochodzą. Można powiedzieć, że pozytywści to prowincjusze, którzy swoją prowincjonalność uświadomili sobie tak dobrze, że zakonserwowali ją w naszym pojęciu nowoczesności. Nasze pojęcie nowoczesności to ciągłe przewyciężanie kompleksów i gonienie świata, z czego nie wyzwoliliśmy się do dziś.

AK: Nie wiem, czy Państwo pamiętają taki artykuł, wprawdzie już z roku 1892, o polskich emigrantach, o tym, jak z nadzieją jadą za granicę, a tam są traktowani jak najgorzej. Dokładnie to, co u nas pisano w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Zapomniałam autora, ale to jest znakomity tekst na temat szans, jakie daje emigracja oraz tego, co dzieje się w rzeczywistości po wyjeździe. Świetny, aż prosi się o przedruk.

JS: W latach dziewięćdziesiątych panowała brazylijska gorączka. Może powiem coś optymistycznego. Moim zdaniem, pozytywizm najlepiej sprawdza się w biografiami indywidualnych. Tak się składa, że zajmowałam się nimi i to w nich najbardziej widać, jaką miał siłę sprawczą. Przykład pierwszy, Władysław Matlakowski. Swego czasu miałam okazję o nim mówić w Krakowie. Lekarz, urodzony na Mazowszu, w rodzinie wielodzietnej, której niepiśmienni rodzice wykształcili sześcioro dzieci. On ze złotymi medalami kończy studia medyczne w Warszawie, zostaje wyluskany przez jednego ze sponsorów, hrabiego Tyszkiewicza. Otrzymuje od niego propozycję odbycia żaglowcem podróży dookoła świata, z której korzysta. Statek ulega awarii u wybrzeży Hiszpanii. Matlakowski schodzi na ląd i co robi? Ktoś inny może by się opalał albo podziwiał Hiszpanki. Pozostawił pamiątnik z tego okresu, więc łatwo można się dowiedzieć, czym się zajął. Pojechał do Francji, by zwiedzać szpitale, bada, jak są urządzone nowe sale operacyjne. Później stanie się prekursorem aseptyki w polskiej medycynie. To jest ten sam Matlakowski, który po wariacku jął się przełożenia *Hamleta*. Przekład ten jest o tyle unikatowy, że zaopatrzone został w liczącą prawie 500 stron przedmowę zawierającą całą ówczesną szekspirologię. To jest dokonanie absolutnie niezwykle. To jest ten Matlakowski, którego wymienia się obok Stanisława Witkiewicza jako współtwórcę stylu zakopiańskiego. To jest etnograf. To jest badacz języka. To jest człowiek wielu wcieleń i zawodów. Jednocześnie komentator wydarzeń zachodzących w Warszawie doby pozytywizmu, o bardzo krytycznym do nich stosunku. Uważa, że to, co się w niej dzieje, jest małym strumyczkiem w porównaniu do tego, co ma miejsce na Zachodzie. Mimo to, jego życiorys jest przykładem wielkiej siły sprawczej pozytywizmu.

Drugi przykład, już nie z Warszawy, mamy w osobie Brunona Abakanowicza. Nie wiemy o nim zbyt wiele, podobnie jak o licznych innych dziewiętnastowiecznych emigrantach. Urodził się w Wiłkomierzu. Ukończył Uniwersytet Lwowski, ale czegoś mu tam brakowało i w latach siedemdziesiątych wyjechał do Paryża. Tam zrobił ogromną karierę jako specjalista od elektryczności, jednocześnie będąc wielkim promotorem Polaków za granicą, wspomagał artystów. To osoba odznaczona przez rząd francuski wszystkimi możliwymi honorami, powiedziałabym, że taka świetlana postać wśród polskich emigrantów. Niewątpliwie też pozytywista, ponieważ realizuje ten wzorzec w swojej biografii.

JD: Pan Profesor Grzegorz Markiewicz.

GM: Idąc tym tropem, który Pani Profesor poruszyła. Narodowa Demokracja również sięgała do pracy organicznej, pozytywistycznej, tyle tylko, że miała to być praca organiczna w rękach polskich, skierowana do ludu. Niosła pracę u podstaw, tyle tylko, że zamiast fizyki i nauk przyrodniczych uczyła języka polskiego, historii Polski. Wątek jest ten sam. To jest ta pokoleniowa formacja umysłowa. To jest generacja, która wyrosła z pozytywizmu, tak samo jak socjaliści i inni. Przykłady można by mnożyć.

AK: Nawiązując jeszcze do wcześniejszej wypowiedzi, robiono kariery nie tylko na Zachodzie, ale również w Rosji. Wysokie posady, przede wszystkim na kolei, ale również w przemyśle, były obsadzane przez Polaków. To jest kult zdrowej pracy. Czy sądzicie Państwo, że tych ludzi można nazwać pozytywistami nie w teorii, a w praktyce?

TB: Pisarz, którego wszyscy znamy, Kamaston, czyli Kamiński, był prawie tak zamożny jak Bruno Abakanowicz. Wzbogacił się, pracując jako inżynier. Dzięki tym pieniądzom, które zarobił uczciwą pracą w głębi Rosji, mógł pozwolić sobie na karierę literacką...

AK: Tak jak Wokulski!

TB: ...i w ten sposób propagowanie pozytywistów. Żeby to dzisiaj...

BM: Pewna książka tu była wspomniana. Z małego egzemplarza pierwszego wydania, zawierającego sylwetki tylko tych, którzy wybili się o własnych siłach, ale byli obcego pochodzenia, książka stała się kultową dla całego pokolenia. Kolejne wydania *Sylwetek polskich* były coraz obszerniejsze.

AJ: Może Profesor Budrewicz zechce spuentować nasz spotkanie, musimy już kończyć. Prosimy.

TB: Zapewne nie będę potrafił odpowiednio podsumować naszej dyskusji. Od ponad dwóch lat cała nasza grupa studiuje „Przegląd Tygodniowy” i z każdym rokiem przekonuję się, iż następnie będziemy musieli rozpocząć badania szeregu innych pism pokroju „Gazety Rzemieśniczej”, „Gazety Handlowej”, „Gazety Rolniczej”. Wiele z pomysłów pierwotnie wylansowanych przez „Przegląd” było rozwijanych w praktyce przez czasopisma specjalistyczne. Z całą pewnością można połączyć wypowiedź i Pani Sylwii Karpowicz-Słowikowskiej, i Pana Profesora Markiewicza o nowym kształcie lokalnego patriotyzmu, wyrażającym się w rodzaju patriotyzmu gospodarczego. Zwróćmy uwagę na wystawy. Oto pojawiło się coś, co wcześniej nie istniało, mianowicie pawilony, takie jak Pawilon Radomski, Pawilon Lubelski. Gdy Warszawa zrobiła wielką wystawę przemysłową, Radom, małe miasteczko, natychmiast jej tego pozazdrościł i zorganizował podobną ekspozycję. Następnie domagał się osobnego pawilonu w Warszawie, ponieważ taki otrzymał Lublin. Dlaczego? Dlatego, że bardzo dobrze zdawano sobie sprawę, iż jakość bydła hodowlanego i zboża produkowanego na danym terenie jest uzależniona od lokalnych warunków. Ergo, ówczesni Polacy mieli wysoką świadomość agrotechniczną oraz zootechniczną, a do tego poczucie więzi z regionem.

To pozwala nam zauważyć, że między Polakami i Rosjanami, między Polakami i Żydami, również na płaszczyźnie lokalnej, w Białymstoku, Łomży, Suwałkach czy Warszawie, dochodziło do współpracy gospodarczej, kulturalnej. Nie zawsze było tak, że ideologicznie byliśmy skazani na wieczną nienawiść wobec Rosjan czy

Niemców. Dziś ten świat czasami pojawia się w formie odbicia karykaturalnego. Być może dalsze studia pokażą nam drogę, która umożliwi nam osiągnięcie tego, czego dokonali młodzi pozytywiści.

Zmienił świat na ciut, ciut lepszy.

AJ: Proszę Państwa, bardzo dziękujemy za wszystkie głosy. Chciałabym podsumować naszą dyskusję polubownie. Lokalność nie wyklucza światowości, to uświadamiają nam młodzi pozytywiści warszawscy.

Dziękuję bardzo!*

* Wypowiedzi uczestników panelu nie były autoryzowane. Panel spisał i opracował dr Michał Siedlecki.